Nro 34. R. 1837. PONIEDZIAŁEK 23 PAŹDZIERNIKA.

ZBIÉRACZ
LITERACKI I POLITYCZNY.

OŁTARZ ARTYSTY.
Legenda Przez J. F. Castelli.
(*Dokończenie.*)

We dwa lata stanęło ukończone, wielkie, wzniosłe, spaniałe dzieło. Ołtarz Zmartwywstania Chrystusa Pana, ozdobiony ośmnastą spaniałémi posągami i cztérma płaskorzeźbami, które się najpiękniéjszym dziełom starożytności równały. Podniesiono w górę strop warsztatu, rozpostarto zasłonę, a w obchód imienin Maryi, dnia 15 Siérpnia 1628 roku, odsłonięto dzieło z największą uroczystością w obecności ojca i córki, którzy pięknością jego uderzeni, z zachwycenia padli przed niém na kolana. Dla uświetnienia dnia tego, w nagrodę pracy młodzieńca, odbyły się tegóż samego wieczora Piotra z Maryą zaręczyny. Po skończonéj uroczystości, gdy trzy dni upłynęło, rozebrano całe dzieło w pojedyncze części, złożono je w skrzyniach, i zaniesiono na pokład okrętu dla przewiezienia go pod dozorem trojga przyjaciół, do Anglii. Zaślubienie kochanéj pary miało się odbyć w Oxforcie, w tamecznym kościele, w dzień inauguracyi ołtarza. — Nilsen, płynąc na tym samym okręcie z swoją córką i przyjacielem, miał z początku podróż bardzo pomyślną. Już występowały z powodzi morskiéj wybrzeża angielskie, które majtkowie witali głośnym okrzykiem, gdy oto niespodzianie puścił się dészcz drobny, wiatr południowy obrócił się na północ, zaszumiał wałami i sprowadził straszliwą burzę. W kilka godzin wszelkie obroty sternika zostały zniweczonemi, przemożną tuczą strzaskane maszty leżały na pokładzie. Żeglarze osądzili, że okręt jest za ciężko naładowany i zawyrokowali jednoustnie, rzucić ołtarz w morze.

Środek ten był koniecznym dla ocalenia życia tylu osób. Piotr, który był zasnął w kajucie, obudził się, gdy okręt zaczął niezmiernie kołysać się i trzeszczeć. Zahuczały pioruny, przeraźliwy krzyk trwogi obił się o jego uszy. Widział jak Maryę, jego kochankę, tulił Nilsen w rozpaczy i przestrachu do swojéj piersi; widział jak niebo posiniałe, pokryło się kirem nocy, jak owa matka na pogrzebie swego dziécięcia, widział, jak z czarnego niebies sklepienia spójrzał czasem krwawy księżyc, a błyskawice pruły je, jak płomieniste gady, ogromne bałwany, spiętrzone na kształt gór okropnych, uderzały z strasznym hukiem i łoskotem o burzą miotany okręt, i rozkroiwszy wody swoje, ciskały nim raz pod niebiosa, to znowu w przepaść bezdenną. Piotr poskoczył ku Maryi, dla zasłonienia ją swojém ciałem, ale w téjże saméj chwili zhukana powódź nadniosła drugą wodną górę, która się nad opiérającym okrętem z trzaskiem rozłamała. Piotr pochwycił lwią siłą w objęcie zemdloną kochankę, ale stary Nilsen uległ przeznaczeniu — wał nielitościwy uniosł go z sobą! — Po téj okropnéj chwili, krótka nastała cisza; majtkowie, chcąc z niéj korzystać, zabrali się czémprędzéj około wykonania swego zamysłu. Rzeźbiarz klęczał u nóg Maryi, i załamywał z rozpaczy ręce. Schylony nad jéj licem usiłował ożywić ją swojém tchnieniem; w tém zaczęły skrzypiéć dźwignie i turkotać powrozy, któremi majtkowie skrzynie na pokład wyciągali. Zatrudnienie to przebudziło go i zwróciło jego uwagę. Ujrzawszy na co się zanosi, zaledwo uwierzył oczom swoim; właśnie wydobyto z dolnego piętra jednę z skrzyń zawiérających jego misterne dzieło. Któż jest w stanie opisać, co się działo w duszy nieszczęsnego artysty! Rozpacz i wściekłość zaczęły miotać nim na przemiany; jego misterna praca, dzieło jego sławy, z którego dumniéjszym był, niźli zdobywca z swoich podbitych krajów, dzieło jego jeniuszu, które w jego duszy tworcą go czyniło, to dzieło jego miłości, którém Marya go natchnęła, ten spaniały, podziwienia godny ołtarz, miał być jak lichy, znikomy towar jaki,

w morze rzuconym!... Drżący z wściekłości zerwał się i poskoczył z roziskrzoném okiem do majtków, i wszelkiémi siłami starał się wstrzymać ich od bezbożnéj sprawy, a wyrwawszy jednemu z ręku siekiérę, potężnym zamachem rozciął nią powróz, na którym skrzynię w morze spuścić miano; powróz zaświszczał w powietrzu, a skrzynia z ogromnym stukiem spadła znowu na pokład. Nie chcąc uledz przemocy, zdjęty rozpaczą, prawie bez zmysłów, wskoczył spieszno na główny maszt, i objąwszy go ramionami, miotał przeklęctwa i groził zgubą czeladzi okrętowéj. — Majtkowie posłupieli przez chwilę z zadziwienia, lecz wkrótce połączyli się znowu, i chcieli zciągnąć go z masztu, ale Tadolini strącił dwóch z nich na pokład, a trzeciemu groził rozcięciem głowy siekiérą, jeżeli go nie zaniecha. »Ha, zuchwalcze!« zawołał z gniéwem kapitan okrętowy, »zamiast zatopienia swych kamiéni, wolisz raczéj, ażebyś sam, ażeby twoja żona, i my wszyscy zginęli? Dobrze! niechże twoja żona ginie najpiérwsza. Wrzućcie tę kobiétę w morze!«

— Teraz dopiéro nastąpiła okropna scena; rzeźbiarz zsunął się piorunem z masztu do nieszczęsnéj, w pół obumarłéj Maryi, którą silne ręce majtków już w swoję przemoc brały. Niewysłowiona była rozpacz i trwoga Piotra, zaczął jęczeć, krzyczeć, zaklinać, i dziczeć. Podobny lwu numidyjskiemu szarpał zębami twarze tych, co się do Maryi zbliżali; aż oto zarazem — stuk i trzask straszliwy — okręt uderzył o skałę, i nim jeszcze ten okropny spór się zakończył, już wszystko pochłonęły przepaście morskie!

Nazajutrz miészkańce Kaletu ujrzeli na piaszczystych swoich wybrzeżach szczątki rozbitego świéżo okrętu. Dla zbadania, wysłano dwa małe statki, które wkrótce wróciły z wiadomością, że téj nocy okręt włoski zatonął. W niejakiém od miasta oddaleniu znaleziono zwłoki pięciu osób na piasku wyrzuconych, a między niémi zwłoki jednéj niewiasty. Dwóch majtków, okazujących jeszcze znaki życia, przyniesiono z sobą, i powieszono ich głową w dół, według ówczesnego zwyczaju; przez co jeden skonał tém prędzéj, a drugi

został ocalonym, i od tegoto dowiedziano się o całym wypadku, który poprzedził rozbicie okrętu. Starano się wydobyć z morza okręt dla uratowania pozostałych w nim rzeczy. — Usiłowanie to powiodło się szczęśliwie. Dobyto skrzynie i znaleziono w nich wszystkie pojedyncze sztuki ołtarza. Doniesiono o tém Ludwikowi XIII., królowi francuzkiemu, który natychmiast wydał uchwałę, iż cały ołtarz z wszystkiémi posągami i przyozdobieniami z marmuru i porfiru, jakie znaleziono w okręcie, daruje kościołowi Najświętszéj Panny w Kalecie. Przywieziono do kościoła skrzynie opieczętowane królewskim herbem, a budowniczy miasta odebrał od samego króla zlecenie, aby poskładał wszystkie sztuki i w przeciągu trzech miesięcy wystawił z nich ołtarz Zmartwychwstania Chrystusa Pana. — Budowniczy zagłębiał się nad sposobem, układał i pracował przez dwa miesiące. Chór kościelny, zamknięty pod tę chwilę dla prawowiernych, ukrywał przed ich okiem drogie zabytki, które jeszcze na podłodze porozkładane leżały; albowiém budowniczy, pomimo wiadomości architektonicznych, nié mógł pojąć ani dokładnego podziału części pojedynczych, ani wynaléźć przyzwoitego miéjsca do ustawienia ołtarza. Czas wyznaczony zbliżał się coraz bardziéj do końca, mistrz musiał albo wystawić ołtarz, albo doznać wstydu i hańby. Biédny artysta przemyśliwał głęboko, przykładał wszelkiéj pilności, lecz wszystko było nadaremne. Pewnego razu o północy, na kilka dni przed upłynionym czasem, zwątpiwszy zupełnie o swéj sztuce i utrudzony pracą, wrócił do domu, w zamiarze wyjechania nazajutrz z Kaletu potajemnie, aby nie być celem publicznego zhańbienia. Znużony, ledwo zmrużył powieki, natychmiast sen skrzydły swemi zaniósł go do kościoła, pomiędzy rozłożone sztuki ołtarza. Widział jak śród nawy kościoła powstał jakiś młody, smukły mężczyzna, mający na głowie czarne i długie włosy, które około bladéj jego twarzy, jak gałązki smętnéj wiérzby nad grobowcem, spadały. Mężczyzna ten, oświecony bladém światłem, które od niego samego wychodzić się zda-

wało, szedł prosto do wielkiego ołtarza. Palcem dotknął się świéć jérzących, które się natychmiast zapaliły. Potém zbliżył się do sztuk marmurowych, które tu i owdzie leżały, i bez wszelkiego natężenia i stuku, poustawiał każdą na swojém miéjscu. Ułożywszy tym sposobem podstawę, schylił się aż do ziemi, podniósł gzymsy, płaskorzeźby, przyczołki, i cały ten ciężar wzniosłszy do góry, poustawiał znowu każdą sztukę na swojém miéjscu, aż do wieńca ołtarza. Pozostał jeszcze posąg jeden, posąg Zmartwychwstania Zbawiciela z krzyżem i zwycięzką chorągwią w ręku. Ale kościół nié miał do tego celu wysokości odpowiedniéj. Cień podjął z uszanowaniem posąg Chrystusa Pana i wzniósł się z nim w powietrze pod sklepienie kościoła, a sklepienie samo przez się wystrzeliło w kopułę dla zrobienia miéjsca Zbawicielowi. Gdy się to stało, dał się architektowi słyszeć głos wołający: »*Oto jest ołtarz Piotra Tadoliniego!*« poczém wszystko razem zniknęło. — Nazajutrz gdy już dzień rozświtał, ocknął się budowniczy i zaczął się około swego odjazdu spieszno zabiérać; jednakże nié mógł przenieść na sobie, aby tego snu podziwnego, którym przez całą noc był nagabanym, wprzód żonie swojéj nie opowiedział. Zaledwie to uskutecznił, już go żona namawiać zaczęła, aby się wystawą ołtarza jeszcze raz ostatni zajął, a gdy mu się nie powiedzie, dopiéro wtedy ojazd swój przedsięwziął. — Stroskany artysta usłuchał rady żony swojéj. Gdy przyszedł do kościoła, zastał już ludzi, którzy mu zwykle w robocie pomagali, i widząc, że robota nie zbliżała się do końca, każdego poranku, dobrego dnia życzyli. Budowniczy nic nie odpowiadał na ich szydercze przycinki, obéjrzał rozłożone części ołtarza, i przypominając sobie swój sen w najdrobniéjszych szczegółach, usiłował w tym sposobie, jakto ów cień nocny uczynił, ustawić wszystkie sztuki. Rzecz dziwna! wszystko wiodło się najdoskonaléj. Najprzód fundament, potém podstawy, posągi, cymboryjum, płaskorzeźby, kolumny, kapitele, gzymsy, wszystko stanęło do miary i na swojém miéjscu, jakby ulane. Pomocniki

nié mogli się pojąć z zadumienia. Budowniczy, zachęcony pomyślnym skutkiem, zlany zimnym potem, mimo śmiertelną bladość swoję na twarzy, był niezmordowany w pracy. O jedénastéj godzinie w nocy stały już wszystkie sztuki głazów na swojém miéjscu, wyjąwszy posąg Zbawiciela, który był za wysoki i nie dał się umieścić pod sklepieniem kościoła. — » Jakto, czy jeszcze chesz ten posąg stawić mistrzu? « zapytali go pomocnicy. — Budowniczy otworzył już usta i chciał odpowiedzieć: Nie wiém; ale ten sam głos, co mu dał się słyszeć w nocy, poszepnął mu do ucha: » *Doświadcz!* « Budowniczy wzdrygnął się i rzekł do nich: » Dźwignijcie posąg! « — Pomocnicy spójrzeli po sobie z uśmiéchem, i jęli wznosić posąg do góry, ale o cudzie! sklepienie pomykało się coraz wyżéj i wyżéj, aż posąg stanął na szczycie ołtarza w całym blasku i spaniałości! — Budowniczy upadł z pokorą na twarz przed ołtarzem. W téjże saméj chwili dał się słyszeć grzmiący głos, który zatrząsł mury kościoła, powtarzając zwolna i uroczyście te słowa: » *Oto ołtarz Piotra Tadoliniego!* « — Pomocnicy chcieli podnieść swojego mistrza, ale mistrz ich — już był nieżywy!

JASKÓŁKA.

Dokądże tak z ranną gwiazdą,
Jaskóleczka smutna leci?
Czy zły człowiek zepsuł gniazdo,
Czy ci jastrząb zabił dzieci?.

W gnieździe mi bezpieczno było,
Jest pod dachem i nie moknie;
Lecz już miészkać mi nie miło
W gnieździe mém w koscielném oknie.

Odkąd ksiądz odumarł stary,
Dzieciom się mym tęskni, nudzi:
Nie gra nikt na chórze fary,
Nié masz już pobożnych ludzi.

Ani modlitw, ani pieśni,
Ani dzwonków, lamp niedzielnych:
Nic się nam miłego nie śni,
W ciszy pustych ścian kościelnych.

Muszę lecieć choć się smucę,
Wolę skryć się w obce strony:
I nie wprzód tu z dziećmi wrócę,
Aż znów wezwą na mszą dzwony.

SZARADA.

Piérwsze toczy do morza nurty okazałe,
Dwie drugie są zabawą
Ale krwawą.
Wszystko nie całe.